

Andrzej Jagodziński

Swoje i obce

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (16), 155-160

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Swoje i obce

Swojskość i cudzoziemszczyzna w dziejach kultury polskiej. Pod red. Zofii Stefanowskiej. Warszawa 1973
Państwowe Wydawnictwo Naukowe, ss. 411. IBL PAN.

W listopadzie 1971 r. Instytut Badań Literackich zorganizował sesję naukową na temat „Walki z cudzoziemszczyzną w kulturze polskiej”. Materiały tej sesji — nieco zmienione i rozszerzone — opublikowane zostały w PWN i złożyły się na jedną z najciekawszych i najważniejszych książek ostatnich kilku lat. Jest to bowiem rozpisana na głosy opowieść o historycznych kolejach ksenofobii w Polsce. Bez przesady powiedzieć można, że składają się na nią prace na najwyższym poziomie naukowym i inspirujące do refleksji ogólniejszej. Autorzy są tak znakomitymi znawcami przedmiotu, że ewentualna polemika możliwa byłaby jedynie na tym samym poziomie źródłowej erudycji, do czego autor niniejszej recenzji bynajmniej nie aspiruje. Spróbuję przynajmniej wydobyć niektóre z problemów poruszanych w książce i w swoisty sposób je uszeregować.

B. Zientara cytuje na wstępie swego referatu wczesnośredniowieczny zbiór porad politycznych dla władcy: „Królestwo jednego języka i jednego obyczaju jest słabe i kruche” (s. 9). Badając pierwociny postaw ksenofobicznych autor odróżnia trafnie „skryształowaną ksenofobię od naturalnego u wszystkich ludów stosunku do obcych, łączącego w sobie zaciekawienie i nieufność” (s. 15). „Uczucie obcości łatwo przekształcić w niechęć lub nawet nienawiść, o ile pojawią się inne przesłanki tej nienawiści lub też hasła tę nienawiść potęgujące” (s. 16). Jest to — jak się zdaje — proces stopniowy i stopniowalny. Niechęć do cudzoziemszczyzny występowała w różnym nasileniu w różnym kontekście i niepodobna określić tego nastawienia uczuciowego jako szkodliwego *niezależnie od czasu, miejsca i sytuacji*.

Autorzy wielokrotnie przytaczają dowody tej wieloznaczności. I tak: uczucia bliskie ksenofobii odnajduje Jerzy Kłoczowski w pismach Jana Ostroroga, słynnego zwolennika reform XV-wiecznej Polski, propagatora silnej władzy monarszej i usamodzielnienia polityki państwa od papieżstwa. Emanuel Rostworowski ukazuje interesującą ewolucję obozu reform epoki stanisławowskiej od ostentacyjnej pozycji na europejskość do niechęci wobec „francuskich fraczków”.

rycerskim” (s. 121), ale jak to przekonywająco pokazał Jurij Striedter (w „Zeitschrift für Slavische Philologie” z 1960 r.), ethos jego to ethos mieszczchański. Wielbiciel talentu Szymanowica Thomas Seghet nie był Anglikiem (s. 371). Zawinił tu bodajże niżej podpisany, który swoją niegdyśszą rozprawkę na temat tego szkockiego obieżyświata zatytułował *Anglik — przyjaciel Szymanowicza*.

Z kolei Janusz Tazbir zwraca uwagę na związek narastającej niechęci do cudzoziemszczyzny w dobie baroku z negatywnym stosunkiem Europy Zachodniej do Polski. Nie wydaje mu się jednak ta okoliczność najistotniejsza, bowiem pisze:

„Jeśli jednak w drugiej połowie XVII stulecia polska megalomania narodowa ulegała wyraźnemu zwielokrotnieniu, a swoisty mesjanizm spotęgowaniu, to nasuwa się myśl, że za pomocą takiego właśnie opium — i to dozowanego w końskich niemal dawkach — próbowano zagłuszać coraz bardziej dający o sobie znać niepokój i narastające poczucie niższości. Ponadto megalomania, a jeszcze bardziej ksenofobia, stanowiła poniekąd odpowiedź na narastającą od lat «potopu» krytykę ustroju Rzeczypospolitej oraz jej obywateli, krytykę, o której istnieniu szlachta dobrze wiedziała” (s. 109).

Procesom tym sprzyjało istnienie trzech dogmatów w myśli polskiej: „Spichrza (czyli Europa nas potrzebuje ze względów gospodarczych), przedmurza (jesteśmy jej niezbędni jako osłona militarna) i ustroju (nasza struktura polityczna jest doskonała, ponieważ stanowi przeciwwagę sąsiednich tyranii)” (s. 112).

Odmienne, krytyczne głosy pojawiły się w XVIII w., kiedy zdano sobie sprawę z ogromu zapóźnienia. Uogólnił te krytyki Stanisław Staszic, którego poglądem kończy Tazbir swój referat: „Polska dopiero w wieku XV, cała Europa już wiek XVIII kończy”. Tymże cytatem otwiera swój referat Jerzy Jedlicki, którego ambicją jest prezentacja polskiej myśli politycznej lat 1790—1963 poprzez usytuowanie jej wobec cudzoziemszczyzny — wieloznacznie rozumianej. Autor konfrontuje z tej perspektywy rozmaite modele wzrostu gospodarczego i ich ideologiczne uzasadnienia. Wyznawcy sarmatyzmu, wciąż wierni dogmatowi „spichrza”, nie widzieli potrzeby podjęcia tej problematyki, uważając polską rzeczywistość za daleko bardziej atrakcyjną od obcych wzorów. Ich antagoniści, zwolennicy oświeceniowych ideałów postępu, byli zdania, że Polska jest w sytuacji kryzysowej i doścignąć musi Europę Zachodnią. Jak to jednak osiągnąć? Jedlicki zwraca uwagę na interesujący paradoks, który przypisuje wszystkim narodom zacofanym gospodarczo: „konsekwencją agraryzmu jest napływ cudzoziemskich rzeczy i prohibicja na cudzoziemskie wzory, świadomym i konsekwentnym założeniem wczesnego industrializmu jest recepcja wzorów i prohibicja na rzeczy” (s. 192). Snując swe rozważania formułuje autor jeszcze jeden paradoks właściwy krajom zacofanym gospodarczo: paradoks recepcji, jaką ma w takich krajach socjalistyczna krytyka kapitalizmu formułowana w społeczeństwach wysoko rozwiniętych. Negatywne efekty procesów industrializacji (nędza klasy robotniczej) stały się argumentem antyindustrialnym zarówno dla konserwatystów, jak i dla utopijnych socjalistów. Zarazem stawały się impulsem dla przeróżnych konceptów, których istotą było wyminięcie tego etapu rozwoju cywilizacji — stąd się brały rozmaite warianty słowianofilstwa.

Wywody Jedlickiego bez wątpienia posuwają naprzód naszą wiedzę o polskiej myśli politycznej XIX w. Nie są one wolne jednak od mankamentów właściwych wszystkim ujęciom modelowym. Oddzielenie optyki emigracyjnej od krajowej pozwala ujawnić tylko niektóre aspekty interesującej Jedlickiego problematyki. Wydaje się, że różnicy pomiędzy krajem a emigracją nie da się utożsamić z różnicą między nastawieniem okcydentalnym a etnocentrycznym. Sprawa była chyba bardziej złożona. Sytuacja emigranta mogła pogłębiać uczucia ksenofobiczne (dowodzi tego m.in. w interesującym studium Ewa Morawska¹). Z drugiej strony sytuacja ta ułatwiała kontakty ze środowiskami rewolucyjnej demokracji Europy Zachodniej i pogłębiała ideę walki „za naszą i waszą wolność”. Emigrantowi łatwiej było zdobyć się na postawę konfrontującą Zachód z krajową rzeczywistością niż inteligentowi z Warszawy. Łatwiejszy miał również kontakt z nowinkami ideowymi: nieprzypadkowo właśnie na emigracji powstały załączki polskiego socjalizmu (co ilustrują Lidia i Adam Ciołkoszowie w swym *Zarysie dziejów socjalizmu polskiego*), na emigracji radykalizowało się polskie widzenie społecznej problematyki i polskie rozumienie związku sprawy narodowej z interesem europejskiej demokracji.

Metoda zastosowana przez Jedlickiego nie wyjaśnia wielu problemów, m.in. pominięcie elementu geopolityki uniemożliwia rozszyfrowanie koncepcji Wielopolskiego (na co zwraca uwagę w dyskusji Barbara Skarga). Trudno mi również całkowicie podzielić pogląd autora, że nastawienie okcydentalne zrodziło zasadniczy kompleks polskiej kultury: kompleks nieoryginalności, naśladownictwa.

Historię oskarżeń o „naśladownictwie cudzych nauk” po 1863 r. przedstawia Barbara Skarga. Pokazuje w swym referacie jak tzw. stara prasa oskarżała pozytywistów o cudzoziemszczyznę i partykularyzm, ci zaś zrewanżowali się zarzutami parafiańszczyzny i kosmopolityzmu pod adresem swych antagonistów. O cóż chodziło? Świętochowski zrywał się na zainteresowanie „starej prasy” tym, co się dzieje w Paryżu czy Japonii, na jej pogoń za cudzoziemskimi ciekawostkami, na skupianie uwagi czytelników na polityce międzynarodowej. Wiązało się to z niedopowiadaną (z uwagi na cenzurę) nadzieją na wpływ polityki międzynarodowej na sprawę polską.

„Dla redaktorów «Przeglądu» — pisze Barbara Skarga — los ten był zależny wyłącznie od spraw wewnętrznych, krajowych, od tej hodowli jedwabników raczej aniżeli bitewnych zmagañ. W gruncie rzeczy zatem nie o cudzoziemszczyznę i parafiańszczyznę dyskutantom chodziło, lecz o dwa różne programy polityczne, opierające się na dwu różnych koncepcjach procesu historycznego” (s. 280).

¹ E. Morawska: *Potępieńcze swary. O polskiej „ksenofobii obrotowej”*. „Znak” nr 225, s. 247—287.

Dlaczego zarzut kosmopolityzmu był tak często używany na łamach pracy i tak skwapliwie podchwytywany przez rzeszę czytelników? W zgodzie z zasadniczym tokiem wywodów autorki myślę tak oto: społeczność zagrożona w swym narodowym bycie coraz bardziej izolowała się od tego, co pozaplemienne, by przechować swą odrębność w mowie, myśli i obyczaju. Ideę Polski wielonarodowej przechować mogły elity (tak w kraju, jak i na emigracji), natomiast w codziennym bytowaniu ustępować musiała ta idea kulturowaniu tego, co swojskie dla Polaków i odrębne dla obcych (niezależnie od tego, czy tym obcym był Rosjanin, Rusin czy Żyd). Negatywne skutki tego nieuchronnego procesu były oczywiste.

Problem ten, problem *wielo- czy monoetniczności narodu* polskiego pojawia się wielokrotnie w tej książce. Zofia Stefanowska podkreśla w swym referacie jednoznacznie aprobatę Mickiewicza dla wieloetnicznego kształtu naszego narodu. Polskie opinie na ten temat są przedmiotem komunikatu Tadeusza Łepkowskiego, który w dyskusji zwrócił uwagę na rzecz fundamentalną: „narod polski nie styka się bezpośrednio z narodem rosyjskim”, sąsiaduje natomiast z narodami: ukraińskim, litewskim i białoruskim. Niechętnie przyjmowała ten fakt do wiadomości polska opinia, co wpływało na dynamizację konfliktów i uniemożliwiało porozumienie Polaków z ich wschodnimi sąsiadami. Ten brak porozumienia — obok czynników obiektywnych — przekreślił możliwość kontynuacji Polski wielonarodowej. Idea takiej Polski nie straciła jednak swych funkcji kulturotwórczych. Zabierając głos w dyskusji Zofia Stefanowska wypowiedziała taki oto pogląd: „dominujący w naszych czasach ideał państwa jednonarodowego wydaje mi się ideałem nieco wątpliwym”. Jest to opinia analogiczna do sformułowanego 30 lat wcześniej sądu Ksawerego Pruszyńskiego, który pisał charakteryzując swoje wyobrażenie o polskości:

„(...) gdyby nam powiedziano, że nasza ojczyzna jest jednolita narodowo, obsiada dorzecze Wisły od Karpat do morza, że nie ma w niej miejsca ani dla ruskich chłopów, ani dla cerkwi, ani dla starej Szomsteinowej, to byśmy się zapewne zdziwili najwięcej, my, którzyśmy jednak wyrosli jeszcze, ostatni zapewne Polacy, w świecie idei powstania styczniowego, Polski-Litwy-Rusi, którym opowiadano, że przedstawiciele wszystkich trzech wyznań kroczyli na przedpowstaniowym pogrzebie pięciu poległych... Światy nowe, klasy idące, będą zawsze setki sposobności do opisanie swoich kolebek. Mój — nie. A jednak sądzę, że w miarę wyżywiania się nacjonalistycznych szalań ludzkości (...) myśl młodych Polaków podążać będzie, rad szukając, ku owej dalekiej i niedalekiej przeszłości. Będzie starała się odkryć z gruzów i wykopalisk historii, jak wzniesiono gmach tak wielki, który dał tyle wieków spokoju i tylu pokoleniom zapewnił wolność?”²

² K. Pruszyński: *Na czarnym szlaku*. W: *Wybór pism publicystycznych*. Tom II. Kraków 1966 Wydawnictwo Literackie, s. 54—56.

Tak Zofia Stefanowska, jak i Ksawery Pruszyński dotknęli nader ważnego problemu. Wychodząc poza opis historycznych zaszłości podjęli wysiłek spojrzenia na mono- i wieloetniczność jak na sposoby wartościowania — przeszłości i terażniejszości — a także jak na technikę myślenia o procesach społecznych i ideotwórczych. W tym sensie są to problemy wciąż aktualne, żyjące bez porównania dłużej niż sytuacje społeczne, które je zrodziły. Co jest wartością w edukacji narodowej, czy lechicka rdzenność jest bardziej wartościotwórcza od syntezy wielu kultur? Czy naród ma być jednolitym polem, czy wielobarwną łąką? Oto niektóre z pytań wciąż funkcjonujących. Rozważa tę sprawę także Jan Józef Lipski, autor szkicu o recepcji i poezji Kasprowicza, a właściwie o wysiłkach endecji, by uczynić z autora *Hymnów* programowego poetę polskiego nacjonalizmu i odnaleźć w jego utworach czystą rasowo i narodowo rdzenność. Ukazując cały bezsens tych zabiegów — z pozoru krytycznoliterackich, a w istocie politycznych — opowiada się Lipski, tak jak autorzy wszystkich innych referatów, po stronie ideału polskości tolerancyjnej, wielokulturowej, wielobarwnej...

Jest ta książka lekturą krzepiącą, dowodzi bowiem, iż inteligencja polska świadoma była grożących kulturze narodowej niebezpieczeństw i sygnalizując je spełniała swoją powinność moralną i zawodową. Trafna diagnoza jest doniosłym elementem skutecznej terapii. Wszelako całkowita solidarność z pięknym marzeniem o Polsce tolerancyjnej i wielobarwnej nie stoi w sprzeczności z dostrzeżeniem istotnego braku *Swojskości i cudzoziemszczyzny*. Chodzi mi o drugi człon tytułu. Dla wyjaśnienia swojej myśli przytoczę uwagę Pawła Hertza z jego książki *Ład i nietad*:

„Zdaje mi się w każdym razie — pisał Hertz — że żadna nowoczesność nie może polegać na imporcie form i treści. Muszą one wytworzyć się tutaj, zgodnie z miarą naszych tradycji. Najbardziej rewolucyjne, jeśli chcecie, są te zjawiska w kulturze, które powstają w sposób organiczny. Wszystkie inne są nietrwałe, a więc nie mają szansy działania” (s. 276).

Jeśli nawet uznamy, że Hertza niepokoi wyłącznie małpowanie Zachodu, jeśli nam nawet niepokojącą się wyda jednostronność jego niepokojów, to nie zmieni to przecież istoty opisanego przezeń schorzenia. Rozłożenie akcentów w *Swojskości i cudzoziemszczyźnie* jest dla mnie zrozumiałe. Ale wystrzegać się należy sytuacji, w której przeciw ksenofobii będą przestrzegali jedni, a przeciw organizowaniu polskiego życia umysłowego wokół giełd paryskich — drudzy. Jest to bowiem początek tragicznego rozszczepienia tak przekonywająco opisanego w omawianej książce. W tym kontekście na przypomnienie zasługuje uwaga autora *Prywatnych obowiązków*. W liście do przyjaciela pisał on: „Uświadomiłem sobie jak silnie jestem antyzachodni i jak bardzo dzisiejsze zadanie przypomina walkę Obozu Reform w XVIII wieku na dwa fronty — przeciwko sarmatyzmowi i przeciwko małpowaniu paryskich wykwintów”.

Schorzeniem nie jest więc tylko — jak chce Jedlicki — kompleks naśladownictwa, ale i naśladowanie (tak Wschodu, jak Zachodu). Skąd się bierze ten kult cudzoziemszczyzny? Kiedy naród jest pozbawiony autentycznego życia, to naturalnym dążeniem inteligencji jest wydobyć się z kleszczy zaścianka. Podjęcie problematyki europejskiej, która jest przecież zawsze w jakimś stopniu problematyką polską, dokonuje się wtedy nie poprzez uniwersalizację własnego doświadczenia, ale poprzez sztuczne przenoszenie obcych dylematów i problematów na odmienny grunt, zupełnie do tego nie przystający. Następuje swoiste odwrócenie: rzeczywistość polska zaczyna być widziana z perspektywy innych stolic europejskich (przypomnijmy opinię prof. Manteuffla, który prace polskich historyków określił jako pisane przez cudzoziemców, w dodatku nieżyczliwych). Konsekwencją tego odwrócenia jest z jednej strony plagiatowy charakter dzieł kultury, a z drugiej oderwanie od zaplecza, wyobcowanie elity intelektualnej z własnego narodu, jej rezygnacja z naturalnej funkcji organizatora świadomości zbiorowej. Z kolei skutkiem tego wyobcowania bywa niechęć do rodzimych — rzekomo prowincjonalnych — problemów (tak jakby prowincjonalizm tożsamy był z szerokością geograficzną, a nie oznaczał po prostu typu myślenia tak samo obecnego w Kielcach, jak w Grenoble). I w ten sposób powstaje zaścianek *à rebours*, gdzie przeżuwa się papkę z paryskich kawiarni i gazet oraz gdzie nazwanie po imieniu tego stanu rzeczy wywołuje zawsze oskarżenia o wsteczność i konserwatyzm. Słowem: czekam na sesję poświęconą omówieniu schorzenia cudzoziemszczyzny. Ale byłbym przecież nieszczerzy, gdybym nie napisał, że bardziej lękam się ksenofobii...

Andrzej Jagodziński

Sławizm i sławistyka

Endre Angyal: *Świat słowiańskiego baroku*. Przełożył Jerzy Prokopiuk. Słowo wstępne: Jadwiga Sokołowska. Warszawa 1972 PIW, ss. 498+2 nlb.

W roku 1961 w Lipsku ukazała się książka węgierskiego uczonego Endre Angyala zatytułowana *Die slawische Barockwelt*. Książka zyskała życzliwą opinię wśród sławistów, których uradowało obszerne i ze swadą napisane dzieło ukazujące bogactwo kultury słowiańskiej wieku XVII, kultury często nie, dość znanej z racji barier językowych. Samiśmy sobie trochę winni — za mało publikujemy w językach kongresowych. I gdy nas wyręcza w tym cudzoziemiec, do tego z niesłowiańskiego narodu, czujemy głęboką wdzięczność. Wdzięczność nie jest jednak dobrym doradcą, szczególnie w ocenach naukowych.